



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Jan Zacharyasiewicz.

Czterdzieści lat pracy twórczej na polu literatury, więc pracy myśli dawanej społeczeństwu swemu, to zasługa której należy się akt dziękczynnego uznania, zwłaszcza że wszystko co pióro pisarza tego skreśliło miało za podstawę myśl na dobro ogółu zwróconą. Kto powieści jego zna, kto je czytać umiał z głębszem w założenie ich wejrzeniem, wie, że pisarz ten trzymał się bez przerwy zasady raz powziętej, aby wszystko, co z pod pióra jego wychodzi opartem było na podstawie myśli poważnej. Syn zamożnego ziemianina miał przed sobą ścieżkę życia spokojną, od cięższych prób losu zabezpieczoną, ale w piersi jego mieszkał duch, wzywający go w strony inne, ku innym ideałom zwrócone. Pierwszą pracą literacką dwudziestoletniego młodzieńca miał być przekład piosenki ruskiej „Do księżycy“, ale drobny to był kwiatek wiosenny, nie odosobniony przecież od tego, co następnie tworzył. W czasopiśmie lwowskich ukazały się wkrótce inne jego poezye, nowele; pisał nawet artykuły do dzienników politycznych, aż w r. 1855-ym żywe życie podsuwa przedmiot dla pracy młodzieńca.

Pierwsza jego powieść „Uczony“, to obraz człowieka, który całe życie swoje oddał pracy umysłowej, badaniom archeologicznym, a który w końcu zgięty pod ciężarem lat i ubóstwa, mieści się



JAN ZACHARYASIEWICZ.

w nędznej izdebce—w kuchni starego zrujnowanego domu, samotny, opuszczony od ludzi i to już charakteryzuje nie tylko pisarza, ale i człowieka że młodzieniec umiał tak wejść w głąb życia—umiał tak odczuć nie tylko położenie, ale i szlachetną naturę takiej istoty ludzkiej, której za całe szczęście życia starczyło ukochanie nauki i która też mimo ciężkich dotknięć losu i ludzi dążyła do celu swego.

Doskonale swojski koloryt powieści jest też jedną z jej wielkich zalet. Upomina się w niej młody autor u społeczeństwa o wymiar tej sprawiedliwości, która nakazuje szanować zasługę, nakazuje wypłacić dług zaciągnięty przez ogół u takiej postaci, jak ów „Uczony“ i dość już tego, aby zrozumieć, jak szlachetne są kierunki twórczości Zacharyasiewicza. Druga z kolei powieść jego „Sąsiedzi“ ma również zalety podniosłej tezy. Tu bohater jest również szlachcic siedzący na roli i uceziwy, zacny pod względem wszelkim, bo umie być serdecznie dobrym dla wszystkich, wysoko czy nisko na drabinie społecznej pomieszczonech, ale na nieszczęście ma on krewnych gdzieś na Węgrzech, jedzie do nich aby poznać, zostaje też wkrótce przez nich odwiedzionym, więc dla honoru społeczeństwa swego, którego czyni się reprezentantem, dla uczczenia miłych mu panów braci urzędników nie tylko przyjęcia paradne, ale dom cały, cały układ życia przetworzonym zostaje na stopę zamożniejszego niżeli był człowieka. W skutek tego uceziwy w głębi swojej, pracować uniejący młodzieniec wchodzi na złe tory życia nad stan nie dla używania nawet, ale z ja-

kiej nieopatrności połączonej z tą nieszczęśliwą miękkością naszą, dająca się łatwo pociągnąć w stronę, którą idą inni. Stare przysłowie „Szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie“, występuje w smutnym swem zastosowaniu, bo choć się już wiele w tym kierunku zmieniło, wiele jeszcze z dawnej nieopatrności naszej zostało, i to podnosi wartość powieści—to daje jej znaczenie wyższe, że wykazuje ona braki nie tylko jednostki, ale i społeczeństwa, które tym sposobem oddziaływa nieszczęśliwie na natury słabsze, nie umiejące wejrzeć w głębi rzeczy i rządzić życiem swoim samodzielnie, rozumieć jego zadania i obowiązki.

Powieść „Na kresach“ przyniosła autorowi szerokie uznanie. Chmielowski, który w sądach nie jest nigdy zbyt pochopnym do pochwał, bo żąda od pisarzy, aby w utwory swoje, malujące życie, wprowadzali życia tego pierwiastki wyższe, dał taką utworu tego ocenę „że jest ze wszech miar godną uznania“, bo ma wielkie znaczenie praktyczne przez „wypowiedziane piękne myśli o obowiązkach społecznych, o przeciwdziałaniu wpływom zgubnym, o niemocy naszej“. Wydań jej było trzy, więc niewątpliwie oddziaływać musiała na ogół, skoro tak poczytną się stała i widzimy tu czem może być powieść, gdy autor potrafi wcielić w utwór swój ideę szlachetną. Twórczości Zacharyasiewicza jest to wielką zaletą, że umie patrzeć głęboko w społeczeństwo swoje i niemal zawsze nie tylko pewne osobniki, nie tylko pojedynczego człowieka maluje, bo wszystkich bohaterów swoich zestawia zawsze z ideą wyższą.

Powieść „W przededniu“ należy do tego rzędu. Bohaterem jest tu gorącego serca człowiek, zdaje się że umie kochać to, co ukochania jest godnym, przecież kocha on powierzchownie. Wyobraźnia tak w nim gra, że nie zdoła już poważnie w głębi rzeczy wejrzeć, rozpatrzyć się w jej koniecznościach realnych i oskarżyć go niemal można, że bawiąc się błyskotkami tej wyobraźni swojej, stwarza sobie ulotnych wrażeń fantasmagorye. Życie jest przecież rzeczą poważną i do obywatelskich zasług Zacharyasiewicza zaliczyć to można, że postać taką, jakich niemało spotykało się u nas, postawił przed myślą czytelników. Kto czekając na rzeczy wielkie, nie chce brać do umysłu małych, przecież w związku z ideą szlachetną przez konieczność życia stojących, ten się nagle może spostrzedz ubogim w środku działania i nie tylko sam zubożałym biedakiem zostanie, ale nie do skarby ogółu nie dołoży. Praktyczność pewna potrzebną jest nie tylko jednostkom pojedynczym w ich własnym życiu; człowiek praktyczny wie, że wyższe ideały muszą mieć oparcie pewne na gruncie istnienia realnym, po którym stapać musimy z konieczności natury naszej.

W szeregu typów kobiety naszej, stworzonych przez Zacharyasiewicza; ważne miejsce w powieści „Dzieje ideału“, przedstawia postać Jowity, córki zubożałej rodziny szlacheckiej, której serce uderzyło gorąco do zacnego, pięknego młodzieńca i oto otwiera się perspektywa szczęścia dla dwojga ludzi, szczęścia tego godnych, ale od czegoż jest świat, a raczej ten światek maleńki, wytworzony na podstawie drobnych pragnień, drobnych interesów jednostki każdej? On jest malarzem, pendzel jego stwarza dzieła sztuki szlachetne, a że dusze ich zrozumiały się, więc zdawać by się mogło, że szczęście już jest blizkiem i dość tylko, aby wyciągnąć ręce, a ujętem zostanie. Ale między ustami a pucharem stanie nieraz przeszkoda marna na pozór, która jednak nie pozwoli, aby pragnienie nasze nasyconem zostało, bo od czegoż by istniały na świecie przesady, od czegoż by byli ludzie maluczy? Smutna historia zmarnowanego szczęścia, powtarzająca się bezustannie, spełnia się i tutaj, życie powszednie zastąpiło mu drogę, ideał ustąpił na bok i istnienie dwojga ludzi zostało spacone. Los rzucił pod nogi Jowity przeszkodę, której przekroczyć nie umiała, bo brakowało jej tej szlachetnej odwagi, która ciska rękawicę świata i jego wymaganiom, aby żyć istnieniem pełnym i szczęśliwym. Kochankowie rozdzielają się i ostatnim momentem ich szczęścia — ich pożegnania ze sobą, była chwila w której Jowita stanęła ukochanemu jako model do obrazu „Rzymianka przed Neronem“.

Neronem był tu świat, przecież oboje uczuli, że mimo wszystko, co było między nimi oddzielającą

ich od siebie zaporą, złączonemi zostaną na zawsze, bo rzucony w ich dusze promień ideału nie zgaśnie nigdy, tak jak nigdy nie przestaną czuć tego, co podnosiło im serca w piersiach. „Dzieje ideału“, wykazują, że nie przepada on nigdy dla człowieka, który raz wyciągnął do niego ręce z miłością i wiara, autor stawia to jako tezę pięknej powieści swojej—tezę prawdziwą, bo ideał ma w piersi ludzkiej trwanie swe wiekiste.

Zatrącić w sobie ideał, to zatrącić pogląd na życie z jego stron wyższych, więc osunąć się w dół istnienia i żyć tylko życiem materialnym, lub nosić w piersi nieustanną za nim tęsknotę — czuć się upadłym i poniżonym, więc szacunek dla samego siebie utracić. Stan to jest okrutny, w skutek którego człowiek jeżeli nie stanie się czynnikiem pozytywnym, musi być nieszczęśliwym—nieszczęśliwym ciężko, bo do czegoż ma on wyciągnąć ramiona z miłością i nadzieją, która wznosząc go wyżej niżeli sięgają codziennych jego zabiegów sprawy, pozwala sercu jego uderzyć w piersi goręcej, a myśli wzbic się po nad drobne te troski i kłopoty, opadające jak rój po ludzi tych biednych, którzy im się pokornie poddali. Powieść „Moje szczęście“, przedstawia właśnie położenie takie. Kto wszystko przeważa na szali większego lub mniejszego mienia, podnoszącego nas po nad owe troski, lub zadowolenia, o jakich pieniądź wyrokuje, już nawet nie przez to, o co się kłopotać musi dla siebie samego, nieszczęśliwym się staje. Sądy jego o ludziach czynią się wtedy mylne, bo widzi on w nich głównie szanujących przedewszystkiem dostatek—takich, którzy szczęście swe i godność na dostatku tym opierają. Młodzieniec ze szlachetnym uczuciem w sercu, więc zdolny czuć miłość prawdziwą, pokochał gorąco młodą, piękną, dobrą sercem i nad materialnego dostatku szczęście podniesioną dziewczę, ale jest ona na nieszczęście córką lekkomyślnego człowieka, który tak grzeszył rozrzucaniem posiadanego grosza, jak inni echiwem jego zbieraniem.

Aneta, bo tak jest tu ona przezwaną z francuzka w miejsce naszej Andzi, lub staropolskiej Anusi, sprzyja mu w głębi serca, ale że on, Jerzy, lęka się wpływów, otaczających ją od dzieciństwa: lęka się nawyknień zbytkowych, których brak mógł by jej się stać i brakiem szczęścia, więc mileży. Ale miłość prawdziwa nie łatwo da się zwyciężyć, przystem Aneta świadczy całym układem swoim, że próżną, ani marnotrawną nie jest—że się podniosła nad chęć błyszczenia, nad dumę rodową, więc Jerzy zbliża się do niej, ukazuje jej drogę obowiązku, ukazuje znaczenie i godność pracy, co ona odczuwa głęboko i ta harmonia pojęć, poglądów na życie zbliża ich jeszcze więcej do siebie i już miała wybić godzina, w której wyznali by sobie uczucia wzajemne, gdy naraz spotyka ją szczęście pociągające za sobą nieszczęście. Jakiś bogaty krewny, stryj czy wuj, umiera, sukcesya podnosi skalę majątku zubożałego panka i znowu wszystko w domu jego wraca do dawnej stopy wystawności pańskiej.

Na dobitkę złego jakaś kochająca ciocia pragnie wydać Anetę za męża dobrze, to jest bogato, więc Jerzy usuwa się dumnie na stronę, ona cierpi, ale też zamyka się w sobie, bo widzi w tem jego postępowaniu ujęcie dla godności swego ducha—widzi się niezrozumianą przez ukochanego człowieka i w rozżaleniu swoim przystaje na wyjazd do miasta, którego wirowi daje się unosić. Chce zapomnieć o Jerzym, którego nazywa niewdzięcznym i oenić jej nie umiejącym, otacza ją też mnóstwo młodzieży, a ona chce się zagłuszyć, omal że nie uczyniła kompromitującego ją kroku, co przecież staje jej się nauką, że weszła na złą drogę i tak wszystkie powieści tego pisarza, mają zasługę szlachetnej tendencji, szlachetnych uczuć i myśli. „Wiktorija Regina“, „Dzieje ideału“, należą szczególnie do tych podnoszących ducha w piersi czytelnika, wskazujących mu, że ideał to promień światła, który z nieba na ziemię zstępuje i rozświeca blaskiem swoim te mroki, które nieraz w ciężkich chwilach prób i przełomów losu, nie dają nam widzieć dobrze, gdzie jest cel, do którego dążyć nam należy choćby pot gorący znoił nam czoło. „Moje szczęście“ głęboko też pomyślana i bardzo szlachetnie przeprowadzona powieść od początku do końca, przestrzega jak szczęście to utracić można, jeżeli nie oprzemy go na stałej podstawie nie powierzchownych uczuć serca. „Polska miłość“, przed-

stawia choć pod innym tytułem również dzieje ideału, którego Zacharyasiewicz nigdy w utworach swoich nie pomija i to jest wielką pisarza tego zasługą, że wsiewa w głębi każdej powieści swojej myśli te szlachetne, które każą patrzeć czytelnikom na życie z tego wyższego już punktu, który bez tendencyjnych już umoralnia go i każe zawsze sercu uderzyć wtedy goręcej, gdy serce, to żywiej być powinno.

Styl Zacharyasiewicza jest szlachetny, obok prostoty wzniosły, wszędzie tam gdzie rozgrywiają się sceny wzruszenia tych uczuć przez które serce ludzkie staje się motorem życia wyższym, umie rzucić promień światła goręcej, i tak stwarzając na gruncie praktycznego życia szlachetnych ideałów postaci, pisarz ten tworzy galerią typów naszych własnych i to nie tylko poczytnem go czyni, ale daje pracom jego literackim tę zasługę, że jak w zwierciadle, odtwarza on pewne momenta naszej epoki: jest jakoby historykiem wewnętrznego naszego życia. Więc kobieta, której wpływ wielki zrozumiał, występuje poniekąd na plan pierwszy.

W 1866 r. napisana powieść „Po ślubie“, przedstawia kobietę, na którą oddziaływają silnie idee owej chwili czasu; pragnienie szlachetnego postępu zespolenie się klas w imię wysokich ideałów życia społecznego przenika ją i pragnie przykładem własnym oddziaływać na społeczeństwo — pragnie nie słowami ale czynem dowodzić tego, co głosi jako obowiązek i rozmarzona oddaje serce młodzieńcowi zupełnie prostemu. Jestto syn miejscowego organisty; ojciec grać go nauczył, a że miał pewne zamiłowanie muzyki, więc z kolei uczy śpiewać chłopaków wiejskich i ona widzi w tem szlachetne ukochanie sztuki, przyciąga młodzieńca do siebie, rozmarza go pięknie brzmiącymi słowami, których skutkiem życie jego zostaje zwichniętem, bo przez podsyconą miłość własną głowa mu się zawraca. Jedzie do miasta, gdzie staje się z niego nie tylko lichy artysta, ale i człowiek lichy a zarazem nieszczęśliwy, bo wykolejony.

Powieść ta z podkładem psychologicznym stawia przed czytelnikiem znaczenie kobiety w jej oddziaływaniu społecznym. Może ona czynić tu wiele, trzeba przecież aby nie dawała się pociągać mrzonkom rozmarzonej wyobraźni i jako wzór tego tworzy Zacharyasiewicz następnie „Wiktoriję Reginę“, postać prawdziwie królewską w dostojności swej moralnej i dlatego serce jej niełatwo jest zdolnem pokochać. Uderzyło ono przecież raz, ale biedna nie otrzymała wzajemności i poddaje się losowi swojemu a że życie ma swoje wymagania realne daje się nakłonić do oddania ręki konkurentowi, który przedstawia tak zwaną *dobrą partyę*. Usiłując oddziaływać na niego przywiązuje się doń z wolna i byłaby zapewne szczęśliwą w przyszłości, gdyby nie doszła jej wieść, że inna kobieta ma już prawo do jego serca—inna, kochana niegdyś i opuszczona. Serce Wiktoriji Reginy ścisła się na myśl nieszczęścia takiego i szlachetna nie chce być przyczyną cierpienia kobiety drugiej, lecz nie ogranicza się na tem tylko. Wie, że wywierca na młodzieńcu wpływ wielki i chce go użyć aby podnieść w nim serce do wyższego pojęcia obowiązku, a czy sama cierpieć będzie, nie pyta o to. Autor w powieści „Polska miłość“ postawił przed czytelnikiem taki wzniosły piękny obraz dziewczyny naszej, że należy mu się za to wdzięczność ogółu, bo stawiać przed wyobraźnią postaci szlachetne, to uszlachetniając ją wytwarzać i porywy ducha unoszące w stronę życia wyższą.

Taki powieściopisarz ma też w stosunku do społeczeństwa swego zasługi już obywatelskie, bo działając na wyobraźnię czytelnika przez czyste zawsze i dostojne postaci stworzonych przez siebie typów ludzkości, nakazując sercom być podniosłych tylko uczuć siłą, więc uczy żyć dobrze i ziarno cnót wzniosłych w grunt swój rodzinny zasiewa.

M. Ilnicka.

Nie myśl ty o tem.

Nie myśl ty o tem w zaraniu młodości
 Czysta, jak urok dziewiczej miłości,
 Wdzięczna jak wonne kwiecie polnej róży,
 Wesola jako skowronek po burzy,
 Czemu świat w twarde chciał cię okuć pęta
 Gdyś wyciągnęła do niego rączeta,
 Czemu cię ludzie już cierpieć uczyli
 O tej wiosennej życia twego chwili,
 Gdy słońce lśniło w okół blaskiem złotym,
 Nie myśl ty o tem...
 Nie myśl ty o tem szczęśliwa, bo młoda,
 Gdy ci się cała uśmiecha przyroda,
 Gdy życie niby czarowne marzenie
 Rzuca na drogę twe blaski i cienie,
 Gdy umysł w bujne marzenia bogaty,
 Chce biedz gdzie kwitną wielkich czynów kwiaty.
 Czemu ci ludzie mówią o niedoli
 I wykazują jak to serce boli,
 Gdy górnych myśli męczysz się polotem
 Nie myśl ty o tem...
 Nie myśl ty o tem gdy umysł twój śmiały
 Sięga po górnej cnoty ideały,
 Gdy pragniesz zwalczyć niedolę i nędzę,
 Rozmotać ludzkich cierpień grubą przędzę,
 Odkryć niedoli czynniki uparte,
 Otworzyć świętych praw promienną kartę,
 Przez ciernie świata iść nie chwiejnym krokiem
 I na krzyż patrzac zażawionem okiem
 Pytać czy życie to nie jest cierpień spletem?
 Nie myśl ty o tem...
 Nie myśl ty o tem—tak było i będzie
 Jako w przeznaczeń zapisano księdze.
 Wiosna wydaje pączek na pół senny,
 Lato swym żarem pali kwiat wiosenny
 Jesienne chłody niszczą jego siły,
 Aż zima zmrozi, kładąc do mogiły
 I człowiek walczyć musi od powicia.
 Słońce mu świeci, świat wzywa do życia,
 Później go nęca zwodnicze mamidla,
 Potem niedola opala mu skrzydła,
 A potem żyje by cierpieć—a potem...
 Nie myśl ty o tem.

Stefan.

W CODZIENNEJ WALCE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

St. Ariel.

(Dalszy ciąg).

IV.

Nie pomogło nic, że Joasia nie miała chęci odświeżyć znajomości ze Zdzierskimi, a raczej nawiązywać jej na dobre.

Pan Marek bowiem rozkombinował, że skoro Lescy mają dorosłą córkę, to niezawodnie tryb życia zmieniają, a skoro on ma też dorosłą córkę, to *ma się rozumieć* wieczorki wydawać musi—i z państwem Wiktorostwem stosunki zadzierżgnąć postanowił.

Spekulant półgroszowy, przyzwyczajony obliczać z kredką i zyski moralne i drobnostki, które baczności innego by uszły, zważył pierwiej oczywiście wszystkie za i przeciw sprawy.

— Lescy biedni, ale poważani... Choć to gamajdy—nie omieszkał wtrącić—wszystko z rąk im się rozkazi.

— Panna Joanna podobno ładna—ale goła. A moja Klotylda nieszpeta i posażna.

— Joanna wyedukowana w stolicy—ale goła!—powtórzył.

— Ma lepsze maniery od Kłoci?... Ba! Pańskość przy biedzie, to cynamon bez cukru przy obiedzie. Nikt się zjeść go nie pokwapi.

Dość że podsumowawszy ten ruchunek, zobaczył taką przewagę swojej kiesy, (którą nad wszystko ceniał) na każdym punkcie, że się niczego nie uląkł.

Gwizdnął tedy, ręką poklepał portmoneę wydymającą ogromnym guzem kieszeń z prawej strony—i do państwa Wiktorostwa ruszył sam, nie chcąc prowadzeniem magnifiki zbyt wiele zaszczytu na raz pierwszy czynić.

W drodze jednak nie omieszkał osobno jeszcze pochwalić za ten krok rozsądny sobie wymierzyć, boć potrzebował rekrutować młodzież płci obojej, a Waclaw, jakkolwiek „hołysz“ i „chuderlak“, stanowił elegancki tużurek w salonie. No, i bywaniem młodzieńca z wyższego towarzystwa, (bo znów syn liczył się za wyższe towarzystwo niż rodzice) mogło nieźle na pokup panny na wydaniu wpłynąć.

Dość, że gdy Joasia od pani Zenobii wróciła, w domu zastała rwetes wielki niespodziewanemi odwiedzinami i zaproszeniem spowodowany.

Helka z zakasanemi rękawami stała na podwórzu przy balii, w której zamierzała pławić swą różową suknię i wypchnawszy Franię po nożyczki, gwałtownie poganiała Ludkę:

— Prujże tymczasem szpilką, a śpiesz się! Musisz odpruć tę falbanę, bo zrobię z niej riuszę; teraz riusze modne, widziałam w żurnalu...

Z wielkiego zaciętrzewienia i ferworu nie zauważyła nawet, że Joasia przy niej stała.

— Cóż? wybieracie się do Zdzierskich? macie zaproszenia?...
 — A jakże! jakże! Pan Zdzierski był przed kwadrans—mama była nieubrana—tata sam go przyjmował. Pan Zdzierski ogromnie żałował, że eiebie ani Waclawa nie zastał—ale tak prosił, abyśmy przyszli, tak prosił serdecznie!... Tata się zgodził, tylko powiedział, że jeśli ty się wybierzesz, bo ja jestem za młoda na wieczory, i tylko przy sposobności ze starszą siostrą iść mogę. Więc pójdziesz, moja droga, moja najukochańsza!... Pójdziesz? prawda? już tak cię uściskam, uproszę!—mówiła jednym tchem i z mokremi rękami rzuciła się na Joasię, która jakoś czy z gwałtownego napadu, czy ze smutku westchnęła.

— Czy i Ludka i Frania proszone?...
 — Pan Zdzierski prosił; powiedział że z jego Mańką i Józkim stworzą czwórkę; ale pewno nie pójdą, bo nie mają bućków...
 Ludka przyzwyczajona wszędzie włóczyć się z Helą, uważała za stosowne pociągnąć nosem.

Helka tymczasem dalej nacierała na siostrę.
 — Idź, Joasku, idź—bo bez ciebie przepadnę ja, a widzisz, że już sama piórę suknię dla pospiechu!...
 — Zobaczę; rozmówię się z mamą...
 — E, co tam mama! Nie doradzi ani siak, ani owak; ja nawet jej nie pytałam. Idź, i basta—ja ci radzę!...

I Joasia ostatecznie zgodziła się iść, nie dla przyjemności, ani z wyraźnej dobrej woli, czy z musu—ale ot, jak często w życiu się zdarza: nie wiedzieć dla czego.

Helka pół nocy i dzień następny przesiedziawszy nad przerabianiem sukni według ostatniej mody, rozgorączkowana, z wypiekami na twarzy, przystąpiła wreszcie do robienia swojej tualety, pożyczwszy z garderoby Joasi, co tylko się dało.

I po trzechgodzinnej krętaninie koło swej osoby, wyfryzowana, upudrowana i wyperfumowana pachnidłem zabranem Waclawowi—stała do oględzin przed Joasią.

— Obejrzyj mnie, moja złota! Czy aby dobrze? Czy do twarzy?—z niepokojem pytała, obracając się na wszystkie strony.

Ale posłyszawszy, iż siostra radzi jej nieco przygładzić nastroszone włosy i zdjąć buraczkową wstążkę—wnet wywinęła się na pięcie, i czem prędzej po kwiaty wypadła do ogrodu, zabierając ze sobą młodsze, nieodstępne towarzyski.

Joasia pozostała sama i dopiero do ubierania się zabrała, mało na nie poświęcając czasu.

Włosy jak zwykle zaczesła gładko i nisko upięła; suknię włożyła batyscikową białą w czarny rzucik, prostą, pod szyję zapiętą, a za jedyną ozdobę

zatknęła tylko przy warkoczku i na staniku parę cienno ponsowych gwóźdźków.

Gdy w tym stroju przed zwierciadłem stanęła, myśli jej mimo woli pomknęły daleko.

— Mój Boże! Ileż razy miałam tę suknię w Warszawie!—powiedziała w duchu. Wówczas, gdy jeździliśmy do Willanowa, i na Saską Kępe, do Łazienek—a wszędzie, wszędzie *on* był z nami razem... Adam!... Adaś!...—powtórzyła z tęsknoty, choć dźwiękiem jego imienia się ciesząc.—Ach, jak ja byłam szczęśliwa, jak byłam szczęśliwa rok temu, pół roku—wówczas w Maju na Zielone Świątki...

I poczęła sobie przypominać kiedy przyniósł jej pierwsze ponsowe róże,—a kiedy fijołki i konwalie...

— No, Joasia! gotowaś? Tata woła! już w pół do ósmej, prosili wcześniej!—wpadając z rękoma pełnemi różnokolorowych pelargonii, wykrzyknęła Helka, i obtykać się zaczęła kwiatami pod szyją, u paska i nad czołem.

Po chwili we troje ruszyli. Waclaw bowiem przyjął zaprosiny jako hołd należny, lecz nie dowiedziałwszy się jasno, czy picie i jedzenie u Zdzierskich zadawałające, a partya wista pewna, ryzykować swej fatygi nie chciał.

Pani Tekla zaś nawet nie była proszona, w niepamięć poszedłszy u ludzi przez wieczne usuwanie się na plan ostatni i niepokazywanie. Zresztą pan Marek może i z rozmysłem ją pominął; boć łatwiej na wieczorach z ojcami sobie radzić niż z matkami, które miejsce zawalając w salonie, za niewygodę żądają tysięcznych atencji.

Pan Leski tedy rolą kokoszy obarczony, podejmował ją ze zwykłą obojętnością na sprawy świata, ani zastanawiając się, że jest to jakowyś fakt, następstwa rozmaite pociągnąć mogący, iż córka w świat wstępuje, a przez bezwzględny brak próżności i miłości własnej, nie zatroskał się również tem jak w towarzystwie dziewczyny się wydadzą i on przy ich boku.

— Proszę ich—to ma się wiedzieć chcą mieć takimi, jak byli—i basta,—rozumował.

Bez namysłu tedy wsadził codzienny, wyswiecony surdut, u którego Joasia ledwo zdołała kołnierzy wyczyścić naprędcę. Szpakowate włosy wyszywnił pomadą węgierską (co jedyną jego słabość i elegancją stanowiło), i kołnierzyk wysoko podwiązawszy jedwabną chustką, dla kontenansu wziął w rękę stare rękawiczki Waclawa, które mu Helka wetknęła.

W mieszkaniu Zdzierskich od samego przedpokoju w uszy buchnął gwar nie hamowanych śmiechów i wesółych głosów, a w nosy woń smalcu wraz z odorem sosów i pieczeni.

Pan Marek „pawim królikiem“ zwany dla małego wzrostu, a znacznej pychy i dla zwyczaju podnoszenia się na palcach, a wyciągania szyi w górę, na podobieństwo pawia przed roztoczeniem wspianych piór ogona—był w swoim żywiole.

Rozprawiał, zdawało się dwoma głosami; każdym okiem z osobna zerkał, i machał jakoby czterema rękoma, tak w ciągłym trzymał je ruchu; przytem co chwila wydymał policzki powietrzem, niby bombę przed wybuchem, i śmiech pełen zadowolenia ze siebie i świata z gardła puszczał jak z trąby.

Jak tylko zobaczył pana Wiktora, który zaraz za progiem salonu chciał przy drzwiach pozostać, naprzód puściwszy córki—wnet podbiegł ku niemu, za ręce go schwytał i do sąsiedniego pokoju zawiódł, wypytyjąc o Waclawa; a do panien sprowadził Klotyldę, która na boku chichotała z młodzikami.

Najstarsza panna Zdzierska tęga brunetka, wysnurowana, z biustem okazałym, wyłupiastymi oczyma, grubemi wargami pod garbatym nosem, w kremowej sukni z ponsową szarfą i bukietem róż na ramieniu, oboesowo wycalaowała Joasię i Helkę, dobrze znana—i odrazu proponując „tykanie“ zaprowadziła je do swej matki, która jako uprzejma gospodyni królowała za stołem, uginającym się pod piramidami ciast domowych: bab, placków, chrustu mimo lata, i owoców—czyli przekąsek stanowiących wraz z winem i lemoniadą pierwsze poczęstowanie.

Po tej głównej prezentacji, Klotylda snadź żywa i energiczna odrazu Joasię wciągnęła w grono panien, które nie omieszkały ciekawie mierzyć „Warszawianki“, o ile im zajęcie własnymi osobami i rozmową z młodzieżą pozwalało. W końcu zaś, gdy przeszła kolej na kawalerów, Kłocia uważając iż niegrzecznie nazwisko mężkie przed kobiecem wymieniać, rzecz obróciła inaczej—i Joasię przedstawiła

każdemu z młodzieńców z osobna, powtarzając: panna Leska—panna Leska—pan Toczek, Koczek, Soczek... Tupalski, Fujarski...

Z tych nazwisk jako i fizygnomii zrobił się w głowie Joasi bigos. Szczeniściem, że spostrzegła Anielkę Różnicką, jedyną z którą się widywała i lubiła — i do niej przypadła. Hela bowiem od razu odfręgnęła od niej ze Stefkiem Zdzierskim, kilkusetletnim wyrostkiem i paru podlotkami, w towarzystwie tem wogóle zachowując się swobodnie jak u siebie.

Wieczór był ciepły, piękny, a w salonie dość gorąco, młodzież tedy—wypierzełła do ogrodu gwarliwa jak stado wróbla w życie, rój pszczoł puszczoonych z ula.

Wnet potworzyły się trójki, pary, czwórki—i gronka te rozsypały się wpośród klombów: panny jak wielkie różowe, żółte, ponsowe georginie, na tle zieloności, poprzątkanej niby ciemnymi plamami—w postaci męczyczn w frakach i tużurkach.

Zaczął się zrywanie kwiatów, które zmierzch jeszcze rozeznawać pozwalał, gra w kolory, w zagadki.

Joasia bez męskiej asysty, jako obca a nienarzucająca się nikomu, trzymała Anielkę pod rękę i opowiadała o bytności u pani Zenobii i nadziejach na tem opartych.

— A wiesz? i suknię do roboty mam przyrzeczoną, bo będę przyjmowała krawiecczynę; mnie wszystko, wszystko jedno, byłem nie siedziałą próżno...

— A cóż o A... nie wiesz nic? wuj nie widział go? nie pisał? — zapytała Anielka posiadająca widocznie tajemnicę serca przyjaciółki.

— Nic—nie! Ale nawet mi go tutaj nie wspominał, moja droga, bo tak mi smutno!... Ciągle dziś myślałam, że cały ten wieczór oddałabym z rozkoszą za jedną minutę z nim rozmowy.

Co mnie obchodzą ci ludzie?!...

W tem koło uszu ich śmigać zaczęły jak w głośnym sekretarzu pytania rozmaite i uwagi.

— A czy różę różową pan lubi? — doleciał Joasi głos dobrze znany, który wnet po odpowiedzi potwierdzającej dorzucił:

— To ja! to ja! No cóż? gust pański? proszę nie zmyślać!...

Była to Hela, która bombardując temi słowy jakiegoś młokosa z czarnymi wąsikami, garść listków róży w twarz mu w dodatku rzuciła.

Joasia nieznacznie pociągnęła ją za rękaw dla upamiętania; lecz zuchwała dziewczyna otrząsnęła się niecierpliwie i w inną czmychnęła ulicę.

Tymczasem z pomiędzy krążących par znowu zabrzmiało:

Gwoździak namiętny—a narcyz smętny.

Co zaś do tulipanów—to zapytam pana...

— A pan Tomasz — odezwał się głos inny—to powinienby nosić bukiet z pachnącego groszku, bo na krawat zawsze rozwiązany, a groszek znaczy niewinne w stroju zaniedbanie...

Joasia obejrzała się i zobaczyła tuż za sobą męczyczynę nie pierwszej młodości, krępego, z pospolitą lecz rozumną twarzą, gęstym otoczoną zarostem.

Skomfundowany schwył się pod brodę i rzekł: — A prawda! Zawsze zapominam!...

Potem zaś głośno i śmiało odpalił:

— A panna Eugenia powinna nosić bukietek z pachnącej pokrzywy; tylko że „bóstwom“ nawet złośliwość śmiertelni darują...

— Któż to jest?—cicho spytała Joasia Anielki...

— Profesor greki i łaciny, wielbiciel kobiet, które stale zwie „bóstwami“...

Filolog tymczasem choć obsadzisty i w ruchach tępy, wysunął się prędko przed nie z towarzyszem i składając ukłon rzekł z wyszukaną nieco grzecznością:

— Mam honor się paniom przedstawić: profesor Kubik, a to mój kolega Jański.—Poczem żywą zagaił rozmowę.

Prawie zaś z tem równocześnie, z pod gęstej grupy drzew i krzewów na boku, dolatywać zaczęło na różne głosy:

— Malwisia?!... Malwisiu — ty tutaj? Sama—z książką?... A cóż to znaczy? Szukasz natchnienia?... Może poezye?...

Większość towarzystwa pokierowała się w stronę dokonanego odkrycia.

— Malwisia! A, to ta kuzynka pani Zdzierskiej.

— To ona, co powieści zawsze pisze?...

— Które od razu oddają pod placki.

— Czy też do pieprzu,—krzyżowało się między młodzieżą.

— Ależ Malwisiu, chodź z nami! Dziś nie pora na samotność—zagorował donośny głos Klotyldy, która też niebawem pokazała się z za krzewów berbersy w towarzystwie blondynki lat przeszło trzydziestu, przy zakłopotanych i skromnych minkach podlotka, z głową w loczkach, oczyma podezrniomymi, ustami zesnurowanymi, a w stroju różowym, niezmiernie wymyślnym, przedawanym ozdobami z płaszu, haftu, perełek białych i bluszczykowych liści i gałęzi.

— Dalibóg!... bóstwo z czasów — upadku Rzymu!—szepnął do Joasi profesor Kubik.—W każdym razie wolę ja wykopaliska z cudownej Grecji...

— Jako Malwisiu, na seryo pisałaś te twoje „Szczyry“?!—wykrzyknęła Klotylda, z rąk romansopisarki wyrwijając zeszyt i ołówki.

— O, przepraszam! „Żółwie i krety“—A ktośkolwiek wniknął choć trochę w obyczaje i charakter tych stworzeń, ten z pewnością zrozumie alegoryę, jaką one stanowią dla ludzi...

— Ależ panno Malwino! toć lepiej weselsze było obrać porównanie i tytuły; n. p. „Szpaki i papugi“, albo „Trznadłe i sroki“, wreszcie „Myszy w ryżu“, „Zajączki w kapuście“...

— To wszystko zależy od punktu zapatrywań na kwestyę. Kto jest optymistą, ten ludzkość widzi w różowych kolorach. Ale któż dziś nie rodzi się pesymistą? Kto wreszcie ulegając prądom czasu i duchowi epoki, zdoła ostać się samoistnie?...

— Uf!—odetchnął filolog wachlując się kapeluszem.—Niezawodnie przy dłuższej rozmowie z tem „bóstwem“, dostał bym kataru ze spocenia...

— A więc i pan złośliwy? to bardzo brzydki!—powiedziała Joasia. — Ona może tylko tak źle się tłumaczy, a myśli podniosło i czuje głęboko...

Profesor spojrział niezmiernie wymownie, z zachwytem.

— Ja wiem tylko, że anioły nawet zbrodniarzy umieją bronić!...

Joasia zaczerwieniła się, tem bardziej, że Anielka znacząco ścisnęła jej ramię.

A tymczasem w kłopotliwą ciszę, jaka między nimi zapanowała, wpadł nowy urywek rozmowy:

— Ale to pani podobno studjuje fizygnomikę?—odezwał się młodzieniec z czupurną miną akademika dyspuciarza, przy rozczochranych włosach i zmiętym kołnierzyku.

— Czy i pan? i pan poświęca się temu przedmiotowi?—żywo podjęła Malwina z tonu sentymentalnoekliwego wpadając w zaciekawienie.

— I ja, — odparł student, snadź podmówiony przez innych do prowadzenia tej rozmowy.

— Ach, jak to dobrze! Tak rzadko mogę spotkać kogoś, kto miałby pojęcie o tym odłamie nauk... A jak to niezmiernie zajmująca kwestya! Ileż tajemnic niezbadanych dla umysłu ludzkiego odkrywa...

Akademik szeroko otworzył oczy i uśmiech łobuz przygryzł pod wąsem.

— Skoro więc pani jest tak szczęśliwa, że umie czytać owe sekrety oku ludzkiemu nieznanne — to—może zechce pani rzucić mi tak parę rysów co do mojej psychicznej istoty.

— Ach—ach — tak od razu? bez przygotowania? bez książki? Człowiek potrzebuje—jak to mówią—beczkę soli zjeść z drugim, aby go poznał i sam siebie zrozumieć nie może — jakże ja bym zatem odważyła się miała—tak z powierzchowności?...

Śmiech otwarty i skryty, knychanie, parskanie zabrzmiało dokoła; jedni śmieli się rozumiejąc rzecz, większość zarazą wesołości porwana. Szczeniściem, że Klotylda, której nie brakowało dobroci serca, a więcej jeszcze prawdziwej chęci do tańca, przerwała „to branie kuzynki na kawał“.

— No, moi państwo! Czy to wcale tańczyć nie będziemy? Czas ucieka!—zawołała...

— A żywe obrazy—kiedy będą? Czy poczekaamy wejścia księżycy? Przy srebrnym jego blasku tak byłoby poetycznie!... — odezwała się Malwina nie tracąc fantazyi, jak każda wielkość, choćby zapoznana.

— Ależ ognie bengalskie... prawda! Czyż przygotowane?... Józiek!... Stefek!... — zawołała Klotylda; i puściła się ku domowi.

— Cóż przedstawiać mają one obrazy? zwrócił się tymczasem akademik znów do swej ofiary.

— O! to tajemnica!... by urok nie przysł jak bańka!...

— Czy—czy i pani weźmie w tem udział?...

— Tak—niby... Bo to właściwie,—mówiła wahać, a oczy spuszczać wstydliwie, — to co prawda... mój pomysł!...

— Al... Więć czołem—czołem w takim razie!—rzekł drwiący student.

— Panowie! ogłaszam, iż pannie Malwinie zawdzięczymy największą przyjemność i ozdobę dzisiejszego wieczoru — przyjemność, która—jeszcze jest w sekrecie!—dokończył uroczystym tonem.

— W górę, pannę Malwinę! w górę! — odezwał się jakiś żartowniś pół głosem.

Śmiech ponowny zagrzmiął.

W tem przypadek Józiek, młodsza mężka latorośl rodu Zdzierskich, chłopak lat czterestu, z pałkową głową i sążnistym charakterystycznym w tej rodzinie nosem, a ustami w ciągłym ruchu od gwizdań i pisków.

— Proszę państwa! proszę państwa! Muzyka! Już tną walca, że to ha! — wykrzyknął przytkając palcami, i wnet w odwrocie wykoszlawione obeasy pokazał.

Młodzież gromadnie ruszyła za nim, targując się zawczasu o tańce.

Z salonu w samej rzeczy płynęły pociągające dźwięki walca, wygrywanego na skrzypkach i fortepianie.

Pochwytno się też w pary jeszcze przed drzwiami—i po wywoskowanej podłodze poczęto wirować, hasać, wywijać, nie szcędząc szurania, przytupywań, lub kołysząc się marzycielsko, według temperamentu, afektów i upodobań chwili.

Profesor Kubik od razu wyznawszy z westchnieniem, iż nawet w młodości nie wspólnego z tańcem nie miewał, odstąpił na bok, jeno oczyma prowadząc Joasię w parze ze szczupłym Jańskim.

Gdy do kontredansa zbierać się poczęto, Joasia naraz zobaczyła Helę z rozpuszczoną w całej obfitości kosą.

— Helciu!... Po co warkocz rozplotłaś? Chodź, prędko cię uczesz!...

— Ee... daj mi spokój!... Zgubiłam wstążkę!—odparła dziewczyna i zalotnie potrząsnęła skarbowanym płaszczem.

A potem starała się nie podsuwać więcej pod oczy starszej siostry.

Po jakimś czasie za to, gdy wir tańca wrzał na dobre, Joasia dostrzegła w drzwiach za innymi blade, skrzywione oblicze Waclawa, który zdecydowawszy się zaszczyt uczynić swą osobą, nie podchodząc do sióstr, zdała tylko przez binokle przegład towarzystwa czynił—i ramionami oczywiście wrzucił na zamaszystą galopadę, przy której omal drzazgi nie leciały z podłogi.

Tymczasem północ się zbliżała.

Pan Marek stanął tedy na progu, wymowny znak rzucił grajkom, wspiął się na palcach, szyję wyciągnął — i tonem uroczystym, aż nadto świadczącym, że jadło jako bożek czczone jest w tym domu, obwieścił gościom:

— Państwo, kolacya—kolacya, państwo!...

Na hasło to panny wypadły do bocznego pokoju, pudrować twarze i poprawiać włosy. Mamy zaś, usadowione na fotelach i kanapie w pluszach jedwabnych, chustkach koronkowych, z głowami poczubionymi w stroiki ze wstążek paliowych i lila, i przechylające się chwilami ku sobie ze śmiechu, jak rozdęte worki—ruszyły z miejsc skwapliwie i poświęcały chustki do nosa, wciąż trzymane w rękach, zatoczyły jak najszerszy krąg po małym salonie, z godnością przechodząc do jadalni.

Przy kolacyi wyborny apetyt panował. Wznoszono toasty, szklankami z piwem się trącano nie szcędząc chichotów, przymówek, zaczepiek. Zniknięciem Malwiny i dwu innych panien nikt nie postrzegł.

Nakoniec wszakże muzyka pierwsze takty ochoczego mazura zagrała. Młodzież zerwała się żywo, wywracając krzesła i butelki, lecz falę całą u drzwi wstrzymał Józiek, nogami i rękoma stawiając opór.

— Prr... prr... za pozwoleniem!—krzycał z figury swej urządzając rogatkę.

— Si—ur przyza!... Poczekajcie — minutę cierpliwości!...

Jakoż wkrótce odezwał się dzwonek—i zaimprovizowany mistrz ceremonii sam do pokoju ojca wszystkich zaprosił.

Głowy się zwróciły, fala cofnęła—i u drzwi kancelaryi pana domu stanęła wałem, patrząc ciekawie.

A tam na tle przejrzystych firanek, rozpostartych na podobieństwo obłoków, i wśród zieleni kwiatów, ukazały się w żywy obraz zgrupowane trzy postacie: „poezja,“ w białej powiewnej szacie, z gwiazdą na czole, a zwojem papieru w dłoni; z boku przy niej po jednej stronie „malarstwo“ z paletą i pędzłami w rękę; po drugiej zaś „muzyka“ z grajkownymi skrzypkami w braku arfy.

Zółte światło towarzyszące narodzinom tego zjawiska poczęło zmieniać się w czerwone, zielone, fioletowe dopóki wszystkie ognie bengalskie nie zgasyły.

Wówczas brawo głośne zahuczało i „bis!“ natarczywie.

Na nowo tedy trzask zapalek się rozległ, lecz pozostałe ognie, popsute, zapłonąć nie chciały, co widząc Józef zniecierpliwiony, przed zaimprovizowaną kurtynę wyskoczył i z własnego upoważnienia zawiadomił publikę rezolutnie:

— No—skończyło się — dwie dziurki w nosie!...

Równocześnie zaś pan Zdziarski zdjęty nagłą obawą zapruszenia ognia w kancelaryi, przebił tłum nie bez energii w ruchach i do przybytku sztuki wkroczył.

— Fui!... A cóż te muzy narobiły smrodu!—zawołał, dusząc się od dymu i swędu, jak w wędzarni.

— Wuj!... Ach, wuj! — rozpaczliwie jęknęła Malwina, i omdlewając słać się poczęła, choć wciąż w wzniesieniu.

Ale pan Marek wielkich ceremonii nie rozumiał.

— No, złaźże, Malwina, z tych stołków, bo grzmotniesz na ziemię i jeszcze się rozklekocesz!—dalej wołał.

— A posprzątać mi te fatałachy, bo zaraz tu na karty przyjdą!...

Takimi były główne epizody wieczoru, na którym Joasia poznała grono ludzi, wśród jakich obracać się miała. To pierwsze zetknięcie pozostawiło jej wszakże tylko niesmak.

Hela przeciwnie była w rozmarzeniu i zachwycie.

Gdy o brzasku rannym powracali, jeszcze roziskrzonymi oczyma strzelała, raz wraz uśmiechając się do siebie ukradkiem.

— Czegóż bo nie nagadał jej ten brunet z wąsikami i ten szatyn z kręconą głową!

Ale na drugi raz musi mieć koniecznie suknię z ponsową szarfą, jak Klotylda, i włosy zawczasu w domu zakręci w loki!...

Wacław i w tym powrocie im nie towarzyszył, albowiem zaraz po kolacji zebranie opuścił!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 24-go Maja.

Chcąc spełnić obietnicę daną w ostatnim liście, zaczynam od przeglądu Salonu na polach elizejskich, którego prezydentem jest sławny portrecista Bonnat. Dzień pierwszy, t. z. dzień wernisażu, odbył się w zwykłych warunkach pielgrzymki całej śmietanki towarzysztwa paryzkiego; to też obok obrazów można było oglądać najpiękniejsze kobiety Paryża i najwspanialsze toalety.

Miejsce honorowe zajął w tym roku Jean-Paul Laurens, wystawiwszy olbrzymie płótno, zatytułowane „la Muraille“ rzecz się dzieje w zamierzonych wiekach średnich, praca traktowana ze zwykłym mistrzostwem tego znakomitego artysty.

Edward Detaille wystawił dwa pięknie wykonane portrety księcia Walii i księcia de Connaught konno w otoczeniu wojska angielskiego.

Bonnat'a portret prezydenta Feliksa Faure'a jest słownie wykonany i nadzwyczaj podobny.

Wielki Munckaesy nadesłał wspaniałego Chrystusa na krzyżu i drugi niewielki obrazek „Avant la grève“ z wielką prawdą malujący scenę w kawiarni, zajętej przez robotników w przeddzień strejku.

Trzej sławni malarze Gérôme, Henner, i Bouguereau ozdobili wystawę swymi znakomitemi dziełami, a stary Harpignis i Français dali płótna pełne życia, siły, młodości i prawdy, którejby życzyć należało wielu młodszym.

„Violetta“ Jules Lefebvre'a, traktowana w karnacyi z uderzającą prawdą, jest niezaprzeczenie perłą tegorocznego Salonu. Charrier drugi rok już święci tryumf zasłużony, a tegoroczny obrazek jego p. t. „Les fiançailles“ powszechnie się podoba tak treścią jak i wykonaniem.

Jednym z obrazów przyciągających liczne grono widzów jest zręcznie uchwycona scena szczepienia dyfterytu małej dziewczynce, namalowana przez A. Brouillet'a. Benjamin Constans wystawił dwa przeszliczne portrety kobiece.

M. Bonpart jeden z doskonałych dzisiejszych kolorystów, wystawił pełną prawdy scenę z życia arabskiego. Są także doskonałe portrety Pawła Dubois, świetnie wykonane obrazy Nardi'ego, a i doskonałych pejzaży nie brakuje, np. Kreutzer'a widok lasu, Bouchor'a i kilku innych.

Nie brak jednak i takich obrazów, przed którymi staje się ze zdziwieniem, nie pojmując co one mogą robić na wszechświatowej wystawie. Jednym z takich jest obraz Simons'a, przedstawiający zakrwawionego byka, na widok którego robi się widzom niedobrze, i kilka innych tym podobnych.

A i nasi malarze są tutaj licznie reprezentowani. Szymanowski nadesłał pięknie skomponowaną idylę, Gerson poprawnie narysowaną „Kobietę w spoczynku;“ Rosena piękny, duży obraz przedstawia „Napoleona I, kiedy opuszcza swoją armię w Smorgonii;“ jest jeszcze wdzięczny obraz Kowalskiego „Samotność,“ również obrazy Nałęcz, Reyznera i panny Lempickiej.

Rzeźba bardzo wspaniale przedstawia się w tegorocznym Salonie. Przedewszystkiem królują tutaj dwie Joanny d'Arc, znakomicie wykonane, chociaż każda z nich inaczej pojęta przez artystę. Twórcą jednej z nich jest Antoni Mercie, drugiej zaś Paweł Dubois. Jest także jeszcze i trzecie wcale udatne wyobrażenie średniowiecznej bohaterki, wykonane przez Lanson'a. Dalej idzie kolosalna statua Alfreda Boucher'a „L'éveil de la terre,“ mogąca się zaliczyć do najpiękniejszych dzieł rzeźby naszej epoki. Z godniejszych uwagi rzeźb wymienię jeszcze: „L'illusion“ Charpentier'a, „Zuzannę w kąpielu“ przez Barrau, „Chrystus w grobie“ H. Varenne'go, olbrzymia figura w średniowiecznym stylu; a nade wszystko prawdziwie piękne i wzruszające dzieło Fremiet'a p. t. „Walka człowieka z gorylem.“ Grupa ta przedstawia chwilę walki kiedy goryl, otrzymawszy śmiertelną ranę, ma za chwilę zginąć, dusząc jeszcze przed tem resztkami sił swego napastnika.

Salon na Polu Marsowem po dokładniejszym obejrzeniu wiele traci w porównaniu z pokładanymi nadziejami; można powiedzieć, że zawiódł wszelkie oczekiwania. Kilkanaście wybitniejszych dzieł nie zdołało zapełnić salonów i zadowolnić estetycznego wymagania publiczności. Pustka i jałowość kompozycji każdego uderzyć musi. Kilku najwybitniejszych zwykłych przedstawicieli tego salonu w tym roku niedopisało, a kilku innym wyjątkowo niedopisała muza. Takim jest właśnie obraz Rolla („Jois de la vie“) przedstawiający bachanalję rozpustną. Jestto poprostu pogoń za wywołaniem wrażeń na widzu nagimi ciałami kobiet i wyuzdanem ich zachowaniem. Obraz oświetlony południowym słońcem na tle jaskrawej zieleni, nie sprawia wcale dodatniego wrażenia.

Wielkie, dekoracyjne panneau Puvis'a de Chavannes'a, umieszczone w przedsionku wystawy, przedstawia muzy, oklaskujące geniusza światła. Obraz ten został zamówiony dla biblioteki w Bostonie. Jestto pierwsze dzieło wielkiego artysty, które wyjdzie po za granice Francji. Kompozycja ta jak wogóle wszystkie prace Puvis'a obok zwykłej manieri sprawia w całości uroczyste i harmonijne wrażenie.

Dział portretów szczęśliwie reprezentują: dwa portrety naszego rodaka Aksentowicza, doskonale wykonane portret kobiety znanego Huberta Vossa, portret Sary Bernhardt Uhdego, portret Seweryny przez Hawkinsa, doskonale uchwycony wprawdzie, troszkę zbyt fioletowy portret Dubufe'a, portret Józefa Hofmana wykonany przez amerykańnika Stannona; dalej po mistrzowsku wykonany portret Rondel'a, przedstawiający zachwycającej piękności model, niezrównany w rysunku i kolorycie, a sposobem malowania przypominający Tycyana, i kilka jeszcze innych niezłych portretów.

Jest też kilka doskonałych pejzaży: Casin'a, Leona Voysse'a, Meunier'a, Thaulow'a, Harrison'a... i oto prawie wszystko co jest najlepszego pomiędzy dwoma tysiącami obrazów.

Dział rzeźby, posiada wzruszający projekt na nagrobek Bartholome'go, pełen prostoty i głębszej myśli; dalej nader wdzięczną statuetkę młodej dziewczyny, po mistrzowsku traktowaną przez Damp't'a, znakomicie wykonaną przez Rodin'a głowę kobiety i biust prezydenta Faure'a bez zarzutu wykonany przez de Saint-Marceaux.

Powyżej opisane dwa działy sztuki w obu salonacli są jedynie odwiedzane przez szersze koła publiczności; sale zaś, poświęcone architekturze, rysunkowi, pastelom, sztychom i litografii świecą pustkami lub conajwyżej zwiedzane są przez specjalistów w tych gałęziach sztuki.

W konkluzji tej pobieżnej wzmianki o sztuce należy zaznaczyć, że obrazów, rzeźb i t. p. dzieł sztuki mamy rzeczywiście bardzo wiele, za to arcydzieł zamało, a raczej prawie wcale. Ułatwienia w wykształceniu artystycznym w jakimkolwiek kierunku są dziś tak wielkie, że niejedni nie mając więcej nad zamiłowanie do sztuki, poświęcają jej całkowicie, sądząc że to mu starczy za natechnienie, tymczasem zapominają o tem, że artysta potrzeba się urodzić, ale nie chceć nim zostać, jak również i to, że żadna na świecie szkoła nie nauczy ludzi tworzenia arcydzieł sztuki, gdyż jest to tylko darem samej natury.

W obecnej epoce niewiele jest wielkich artystów, za to towarzyszt zachęcających do sztuki kwitnie po kilka w każdym większym mieście, czego nie znano za czasów wielkiej Grecji i Romy, ani też w epoce Odrodzenia, kiedy tworzone arcydzieła.

Ale, ale... Jeszcze wystawa, wystawa sztuki kobiecej (Exposition des Arts de la femme), mieszcząca się także w pałacu przemysłu. Wystawa powzięta w chwalebny cel i zawiera bardzo wiele ładnych rzeczy, tak że trudno uwierzyć, z kąd światowe paryżanki, biorąc czas na wykonanie tylu pracowitych przedmiotów. Ze rzeczywiście światowe panie głównie zaopatrzyły wystawę, dość powiedzieć, że nazwiska najwybitniejszych wykonawczyń są znane w najwykwitniejszych salonach Paryża: panna de Clermont-Tonnerre, księżna Greffulhe, pani Ganderax, pani Waldeck-Rousseau, pani Paileron, panna Georges Will, panie Christoffe, Brouardel, Charcot, oto ich lista.

I jeszcze jedna wystawa—wystawa zabytków z czasów rewolucyi i cesarstwa: obrazy, rzeźby, broń, meble, drobiazgi galenteryjne i kollekcya pamiątek po Napoleonie, świadczących o prostocie i skromności wymagań i wygodę możnego niegdyś władcy Francji.

Wystawa zyskała wielkie powodzenie, które codziennie się potęguje. Prezydent Faure, który uczestniczył przy otwarciu wystawy, bardzo szczegółowo rozpatrywał nagromadzone przedmioty.

Jak na jeden sezon wiosenny, mamy tedy wiele wystaw, mnóstwo nowości do oglądania; cheiwy wrażeń Paryż ma czem zaspakajać swoje nienasycone pragnienie ustawicznych zmian dekoracyi.

Z ruchu artystycznego na innym polu, należy wspomnieć o tryumfach Paderewskiego w sali Erarda, gdzie mistrz czarował kilkakrotnie licznych słuchaczy; o wielkiem zainteresowaniu, jakie wzbudziła w kołach prywatnych gra p. Zofii Dzierzbickiej, pianistki, mającej koncertować tutaj i w Londynie, o Loli Beth, przybyłej do Paryża na występy w operach Wagnera, nareszcie o kilku nowościach teatralnych.

Najrzeczniejszą z nich jest trzyaktowa operetka, wystawiona w teatrze Bouffes parisiens p. t. „Posag Brygidki.“ Autorami jej są Ferier i Mars, muzykę dorobił Serpette; aktorzy pysznie grają,

a pani Simon Girard w roli tytułowej ma szalone powodzenie.

Teatr Varieté dał nową komedię Valabrègue'a „Les pantins de madame“ bardzo żywą i zabawną komedię, a szczęśliwie wznowiona „Piosnka Fortunata“ jedna z pereł Offenbachowskiego repertuaru, nadługo zapewnia kasę temu teatrowi.

Podoba się też bardzo „Rodzina Martial“ wystawiona w Ambigue, gdzie p. Laurent w tragicznej roli wdowy podnosi do wielkiego sukcesu ten sensacyjny dramat.

Za to nowy dramat Adolfa Aderera „Izora“ grany w Odeonie nie odznacza się ani oryginalnością, ani zręcznym przeprowadzeniem akcji.

A nareszcie kilka dni temu słuchał Paryż „Tanhäusera“ i z jednomyślnym entuzjazmem przyklaśkiwał całemu wystawieniu. Nie rzeczywiście nie zamąciło wspaniałego przedstawienia niezwyklej dla francuzów muzyki Wagnera, wykonanej przez pierwszorzędne siły—Van Dyc'a, panie Caron, Bréval, i Renard'a; wspaniałe dekoracje dopełniały imponującej całości.

Uroczystości w Clermond Ferrand, urządzone z powodu 800 rocznicy wojen krzyżowych udały się znakomicie. Rycerze ze sztandarami, heroldowie, trębacze, paziowie, krzyżowcy o błyszczącej zbroi i różnobarwnych bogatych kostiumach sprawiali widok nad wyraz malowniczy; tłumy widzów formalnie się dusiły.

Po wstrząsającej katastrofie w Bouzey, pustoszącej całą dolinę Avières, nastąpiła katastrofa kolejowa między stacyami Breval i Bueil, pozbawiając kilku ludzi życia, a wielu ciężko raniąc.

Straszne zaś zabójstwo księdza de Broglie, szczególnie, którego zapewne są już wam wiadome, wydarło tutaj przynębiające wrażenie, jak również dwie krwawe katastrofy, w których dwie zropaczone kobiety: jedna zabija męża, druga kochankę.

Mówią tutaj pocichu, jakoby wypadek ks. Filipa Orleańskiego na polowaniu w okolicach Sevilli polegał nie na zwykłym przypadkowym złamaniu nogi, ale miał źródło w jakiejś awanturze miłosnej, gdzie księcia spotkał nieprzewidywany współzawodnik.

Pomysłowy krawiec wiedeński, Herman Zeitung, przypomniał się znów światu; pamiętając o powodzeniu bezpłatnej jazdy w pacy do Paryża, próbował teraz w ten sam sposób przewędrować z Paryża do Madrytu—podobno nawet o zakład; przytrzymany jednak na stacyi w Paryżu, i podróży nie odbył i zakład przegrał.

Na sposoby biorą się ludziska jak mogą byle żyć. Biedak jakiś, Jan Begalla, oskarżył się o spólnictwo w zabójstwie, aby tylko kosztem rządu być żywionym w więzieniu, bo już umierał z głodu wraz z małym synkiem. Dalsze śledztwo sądowe uwolniło go z zamknięcia, ku wielkiej rozpaczy więźnia, który już czuł się u zczerzytu marzeń.

Z dziedziny wydawnictw interesującym jest drugi kwartalnik międzynarodowy „Le magasin international“, zawierający korespondencję z Warszawy, dotyczącą najważniejszych dzieł w waszym ruchu literackim i artystycznym.

Ukazały się tu w dwóch tomach „Wspomnienia z dzieleństwa“ znakomitej a niedawno zmarłej Zofii Kowalewskiej, profesorki wydziału matematycznego w uniwersytecie sztokholmskim, w opracowaniu księżny Cajanello, z domu Leffler.

Wyszedł pierwszy zeszyt miesięcznika „Le Devenir social“, pisma poświęconego międzynarodowemu przeglądowi ekonomii, historii i filozofii.

Franciszek Coppé wydał u Lemerre'a świeży zeszyt dziennika p. t. „Mon franc parler“, kartki te pełne poezji, choć pisane prozą, nadzwyczaj się tu podobają; radzę każdemu je przeczytać.

Wydana u Lévy'ego „Jacqueline“ Bentzon'a z wielką finezyą opowiada dzieje dwojga zakochanych.

„Un amour de Barras“ Ernesta Dandet'a jest zbiorem kilku nowelek; temata do nich czerpał autor w archiwach, to też główne role grają tam emigranci i szuani. Forma nowelkowa nadaje opowiadaniom historycznym wiele wdzięku.

Wyszło też jeszcze kilka romansów i powieści, które nie noszą żadnych cech, godnych specjalnego podniesienia w niniejszej wzmiance.

Ku ucieście młodych kompozytorów muzycznych przesyłam wiadomość, że dyrektorowie opery pa-

ryzkiej Gaillard i Bertrand podjęli myśl urządzenia w sezonie zimowym szeregu koncertów, złożonych z utworów młodych kompozytorów francuzkich: publiczność i krytyka będzie miała możność poznać niejedną piękną nowosć, któraby nigdy może nie doczekała się nawet dobrego wykonania, nie mówiąc już o uznaniu; poznać też będzie można niejednego młodego kompozytora, którego przebijający się talent mogła zgładzić walka konkurencyjna, zmuszając autora do zaniedbania twórczości w pogoni za chlebem powszednim.

C. H.

Tragedye i komedye zabobonu.

ZABIJAJĄCE DUCHY.

(Dokończenie).

Doktor Liebault zebrał w swojej pracy pod tytułem „Sztuczny sen i stany jemu podobne“ cały szereg spostrzeżeń odnoszących się do gorszych daleko wypadków. Opowiada między innymi, że młoda angieltka, wskutek nocnej wizji, uroiła sobie, że następnego dnia o południu umrze. Powodowana tem, wydała odpowiednie rozporządzenia i umarła o godzinie oznaczonej, pomimo starań dwóch lekarzy wezwanych, aby niedorzeczne mniemanie wybić jej z głowy.

Lekarz chorób umysłowych D-r Brière de Boismont twierdzi, że są rodziny, w których każdy z członków termin swej śmierci przepowiada. D-r Liebault znał duchownego z takiej rodziny; oznaczył on dzień swej śmierci i nie pomylił się. D-r Józef Franck również badacz chorób umysłowych opowiada, że tyle razy był świadkiem trafnej przepowiedni choroby i śmierci, że to zmusiło go do wiary w przeczucie duszy.

Najprawdopodobniejszą przyczyną takiego objawu wydaje się, że człowiek silnie przejęty pewnym wyobrażeniem sprowadza zaburzenia w swym organizmie, i przemiany pod ich wpływem. Takie skutki sugestji spostrzeżono nieraz u chorych umysłowo. Waryacyi wprowadzają sobie często śmierć tak stanowczo, że wprowadzają swoje ciało w stan chorobliwy i na śmierć, ostateczny jego rezultat długo czekać nie potrzeba.

„Jeżeli podczas naszej lekarskiej praktyki“ mówi Liebault „mieliśmy do czynienia z ciężko choremi lecz wyleczalnemi pacjentami, którzy powtarzali uporeczywie że są straceni, że nigdy zdrowi nie będą, że umrą w oznaczonej przez nich porze, — byliśmy prawie pewni, że ich utracimy. Nazawsze utkwilo w pamięci naszej wspomnienie pewnego człowieka w podeszłym wieku, który od chwili śmierci swojej żony popadł w melancholię, a po wyleczeniu z ciężkiego zapalenia płuc powtarzał bezustannie, że koniec jego życia jest bliski. Podczas ostatniej naszej wizyty odpowiedział nam ironicznie; tak, jest mi lepiej, ale pan mnie już więcej nie zobaczy.“

Tego samego dnia objawił ostatnią swą wolę i przepowiedział godzinę swej śmierci. Opanowany uporeczywą, o niej myślą, doprowadził do kresu wyczerpane swe siły w przewidzianej przez siebie chwili.“

Spostrzeżenia te rzucają jasne światło na znane fakty przeczucia własnej śmierci, a powtarzanie się tych faktów, przerażających otoczenie zmarłego, wywiera wstrząsające wrażenie na tłumy, i jedna zabobonowi nowych stronników. Chorzy, o jakich mowa wyżej, nie odgadywali swej przyszłości, która była dla innych śmiertelników, lecz siła wyobraźni doprowadzała do skutku to, co zdawało im się, że przeczuwają. Przepowiadanie śmierci nie jest żadnym przeczcuciem, raczej nazwać by je można bezwiednym samobójstwem.

Działanie samosugestji staje się szczególnie fatalnem, gdy przyłącza się uczucie trwogi. Znany jest fakt, że ludzie ukąszeni przez psy podejrzane o wściekłość objawiali symptomy wodowstrętu, pomimo, że pies wcale na tę chorobę nie cierpiał.

Niejednokrotnie spostrzeżono u ludzi tego rodzaju fałszywą, czyli jak dawniej nazywano hypokondryczną wściekłość, opartą tylko na imaginacyi.

Lekarz, który wykonywał sekcję na trupie zmarłego na wściekłość opanowany został urojeniem że się zaraził, stracił sen, apetyt, wszystkie płyny wzbudzały w nim wstręt, a gdy zmuszano go do picia, ucuwał takie ściśnięcie gardła, jakgdyby się dusił. Przez trzy dni włóczył się bez celu po ulicach, zropaczony. Udało się uwolnić chorego od tego wrażenia, za pomocą łagodnej perswazyi. A jednak, że urojona wściekłość może zakończyć się śmiercią dowodzi następujący wypadek: Dwóch braci, zostało pokąsanych przez psa wściekłego. Jeden z nich natychmiast po tym wypadku, zmuszony był wyjechać do Ameryki, i wcale nie chorował, u drugiego rozwinęła się straszliwa ta choroba, i zakończyła śmiercią. Rzeczywiście przychylnie śmierci ukryto przed nieobecny bratem, który po dłuższym czasie, powróciwszy do rodzinnego miejsca, dowiedział się w skutek czyjejś nierozwagi, że brat jego uległ wściekłości; wiadomość ta wstrząsnęła nim do tego stopnia, że wkrótce zasłabł, i zmarł przy wszystkich symptomatach wodowstrętu.

Zabobon jest sprzymierzeńcem sugestji, kto stoi pod jego sztandarem jest niewolnikiem, bezwłasnowolną ofiarą najopaczniejszych wyobrażeń, których niepodobna oprzeć na rozsądnych zasadach. Połączenie dwóch tych potęg, odgrywa w życiu ludów natury fatalną rolę. Wiara w demonów i cuda głęboko jest u nich zakorzeniona, żyją w ciągłej trwodze przed duchami oraz temi, którzy w ich mniemaniu władzę duchów ku swoim celom mogą skierować. Wśród ludów natury, powstają z tego źródła groźby, wydające się straszną bronią, a śmieszne dla oświeconego człowieka. Pomiedzy krajowcami wysp Sandwich istnieje religijne stowarzyszenie, które przypisuje sobie posiadanie daru nieba zabijania wrogów, za pomocą swej modlitwy. Jeśli w ich gronie ściągnął kto na siebie nienawiść, dawano mu poznać, że będą z nim walczyć zakleciem. Groźba taka niejednokrotnie była przyczyną śmierci nieszczęśliwego w skutek przerażenia. Na wyspie Herrey czarownicy posługiwali się tak zwaną „wędką na dusze“, aby pochwycić duszę nieprzyjaciela. Jestto sznur z kokosowych włókien, mający około trzech metrów długości, z przymocowaniem do niego pętlcami.

Przyrząd ten zawieszają na drzewie, obok którego ofiara przechodzić musi. Gdy skazany spostrzeże ów sznur, wierzy głęboko w to, że dusza jego jest tu na sznurze zawieszona, i doznaje silnego wzruszenia, które zabija go przejmując strachem i trwogą. Krajowcy uważają ten przyrząd jako środek nieomylny, gdy idzie o to, aby kogoś ze świata sprzątnąć. Na najniższych szczeblach kultury, mamy tu więc mordercze narzędzie, które za pomocą „fizycznego przekleństwa“, a jak się nauka wyraża, sugestji, że śmierć wkrótce nastąpi, zabić może zabobonnego!

Gdy wnikiemy w zakres wyobrażeń ludów natury, zrozumiemy łatwiej możliwość takiego gwałtownego zabójstwa bez zastosowania mechanicznych środków. Nie mają one pojęcia o naturalnych przyczynach choroby, przedstawiającej się im jako złe demonicznej natury, wciskające się z zewnątrz do organizmu, wypuszczane na człowieka przez czarowników: czarownice. Nic dziwnego, że u ludów natury, często trafiają się choroby sugestyjne, a także i wyleczenia drogą sugestji.

Indyanie w Wiktorji, na wschodnim wybrzeżu Ameryki Północnej, sądzą np. że zły demon „dziki czarny“, może człowieka pozbawić nerkowego tłuszczu, a wtedy człowiek, ten na pewno śmierć ponieść musi, jeśli lekarzowi nie powiedzie się odebrać w magiczny sposób od demona tłuszcz nerkowy, i na powrót umieścić go na właściwym miejscu. Podróżnik Thomas był świadkiem podobnej kuracyi.

Pewien Indyanin, podczas polowania, opanowany został wskutek zbiegu okoliczności myślą że „dziki czarny“, skradł mu tłuszcz nerkowy.

Zmęczony i osłabiony powrócił do swego schronienia; wydawał się chorem śmiertelnie, wezwano więc czarodzieja—lekarza. Wśród rozmaitych tajemniczych ceremonii, miało mu się udać odebranie łupu od demona, i przeniesienie u chorego na właściwe miejsce.

Chory podniósł się, zapalił fajkę, i uspokoił się zupełnie. Był wyleczony.

Przy takich warunkach, lekarz może łatwo nadużywać wpływu na umysły swoich pacjentów, co się też nieraz zdarza. Misjonarz Crosby opowiada między innymi, że młody Indianin z jego stacyi w Vancouver, znieważył miejscowego lekarza—czarodzieja. Ten zawołał w uniesieniu: „Umrzesz za sześć tygodni.“ Młody człowiek odszedł, lecz groźba znawcy czarów ciążyła nad nim. Pod tym wpływem uroił sobie, że lekarz wbił mu w serce magiczny kamień, który nieomylnie śmierć sprowadza, stał się coraz smutniejszym, wreszcie zachorował. Próżne były starania, aby go odwieść od tej myśli, umarł jeszcze przed upływem sześciotygodniowego terminu.

Wypadek ten da się objaśnić w taki sam sposób, jak śmierć ludzi, którzy ujrzeni „wędkę na dusze.“ Choroba i śmierć są tu skutkiem sugestyi, a im więcej wczytujemy się w opowiadania podróżnych, tem więcej przekonujemy się, że u ludów natury cierpienia wywołane za pomocą sugestyi odgrywają ważniejszą rolę, niż u narodów cywilizowanych; u nas zabójstwo za pomocą „fizycznego przekleństwa,“ należy do wyjątków, u dzikich zdarza się bardzo często. Urojone obrazy zabobonu stają się tam w istocie nieubłaganymi, zabijającymi duchami.

Kronika działalności kobiecej.

— Czasopismo „Wiadomości Petersburskie“, traktując przedmiot wyższego wykształcenia kobiet pisze, że jakkolwiek otwarcie instytutu medycznego dla kobiet nie jest co do określonego czasu postanowionem, niemniej ma to już znaczenie ważne, że uznana została w zasadzie potrzeba takiego wykształcenia tu dla kobiet, jakie odbierają mężczyźni. Gdy uznanie to przejdzie w formę zasady, cenzus umysłowy kobiet lekarzy określi się sam przez się i stanowisko ich społeczne utrwali się na podstawie czynów dokonanych.

— Rozszerzenie praw pedagogicznych dla słuchaczy kursów wyższych dla kobiet w Petersburgu zostało ustalone. Wprowadzenie wydziałowego ustroju kursów daje im, jak piszą dzienniki miejscowe, formę typu uniwersyteckiego o dwóch wydziałach: historyczno-filozoficznym i fizyko-matematycznym, które zarządzają dziekanami. Kursa pedagogiczne zaliczają się również do wyższych zakładów naukowych.

— Warszawskie Towarzystwo przeciwzłobactwu postanowiło na ostatnim swem zebraniu zaprosić na opiekunkę garkuchni i herbaciarni, mieszczącej się na placu Mirowskim, p. Ludwikę Beniową, na opiekunkę garkuchni przy ul. Targowej p. Waleryę Henebergową, na opiekunkę garkuchni przy ulicy Czerniakowskiej p. Helenę Łukowiczową, na Szerokim Dunaju pannę Kazimirę Dębską, na placu Witkowskiego p. Katarzynę Szwedową.

— Przytułek S-go Józefa założony i utrzymywany staraniem, oraz kosztem p. Bronisławy Sobolewskiej, przeniesionym został z Solca na ul. Składową. Do pomyślnego rozwoju zakładu przykładają się wielce jego opiekunki, p. p. Miłostawa Kaszewska, Anna Minejko, Aleksandra Borkowska, Teresa Marikoniowa, Walerya Markiewiczowa, Karolina Vacquertowa, Wiktoria Fakerowa, Felicya Rapaeka, Wanda Perkowska, Helena Kalinowska. W zakładzie mieści się siedemnaście dziewcząt, otrzymujących tam wychowanie moralne i kształczących się do pracy chlebobdajnej—do spełnienia uczciwie obowiązków swego stanu i obranego powołania. Przełożoną zakładu, którego użyteczności dowodzić nie trzeba, jest p. M. Gedroicowa; obok lokalu szkoły mieści się nieduży ogródek, gdzie dziewczęta uczą uprawy rozmaitych roślin: kwiatów i warzywa.

— Hr. Ronikierowa, przewodnicząca szwalni 1-iej, zawiadomiła zarząd Warsz. Tow. Dobroczynności, iż posiada 5,000 rs., przeznaczonych na kupno kolonii, gdzieby dziewczęta należące do wymie-

nionej szwalni, mogły porą letnią odetchnąć świeżym powietrzem. Zarząd Towarzystwa wyznaczył delegatów, upoważnionych do nabycia siedziby, odpowiadającej celowi, na folwarku Ignaców pod Nowomińskiem, rozległości morgów 40. Bóg zapłać zacnej pani.

— Szkoła sztuki stosowanej do przemysłu p. Heleny Tokarzewskiej, mieszcząca się obecnie przy ul. Hortensyi Nr. 7, rozszerzyła działalność swoją. Urządzona na wzór szkoły monachijskiej „Kunstgewerbe Schule“, przyjmuje obok pensyonarek i przychodnie, a kierunek wychowawczy moralny podnosząc nastrój myśli i uczuć, uszlachetnia zarazem i pojęcia estetyczne, tak potrzebne kobiecie, aby umiała dać powszedniemu życiu rodziwny wdzięk, który je umila i podnosi nad poziom te zabiegów pracowite, które przecież są podstawą nietylko materialnego jej bytu, bo trzeba człowiekowi chleba aby żył.

— Z inicjatywy p. Elizy Pareńskiej, panie krakowskie zainteresowały się smutną dolą Słowaków, których zubożyła klęska trzęsienia ziemi. Urządzono też na ten cel zabawę połączoną z loteryą fantową, a choć smutną to jest anomalią zdobywać za pośrednictwem zabawy pomoc dla otarcia łez nędzy, lepsze to jest przecież niżeli obojętność spokojna.

— Z fundacyi hr. Gołuchowskiej, uczynionej na korzyść podrzutków miasta Lwowa, zakupionym został domek na przytulisko dla biednych tych istot, pozbawionych szczęścia ogniska rodzinnego. Położony przy ulicy Paulinów, otoczony on jest ogrodem a pięć pokoi, z których dwa zajmują opiekujące się zakładem siostry felicyanki, a w trzech mieszczą się biedne niemowlęta i ich mamki. Obecnie jest ich tam jedenaścioro nie starszych nad rok jeden, mamek zaś tylko cztery, bo mleko sterylizowane dopomaga tu karmieniu. Przytuliskiem zajmuje się stowarzyszenie opieki nad nieszczęśliwymi podrzutkami pod takim, jak w mieście naszym wezwaniem, Dzieciątka Jezus. Prezesową zakładu jest księżna Elżbieta Sapieżyna.

— Lwowska rada Szkolna odpowiedziała na zapytanie wydziału krajowego, wystosowane w skutek polecenia sejmu, że nie może przemawiać obecnie na korzyść zakładania gimnazjum klasycznych dla młodzieży płci żeńskiej. Musiałaby być poprzednio uregulowaną sprawa przypuszczenia kobiet do studiów uniwersyteckich i określenie uprawnień, jakie dawało by uczennicom swoim gimnazjum. Inaczej, nie można popierać zakładanie szkół, które budziły by w kobietach młodych aspiracje naukowe, a nie dawały by im sposobności przygotowania się rzeczywistego do zawodów uczonych. Rada szkolna dodała, że nie jest obecnie zamkniętą dla kobiet droga do pozyskania wykształcenia gimnazjalnego, albowiem wedle przepisów obowiązujących kobiety, mogą one zapisywać się w gimnazyach jako prywatystki i składać egzamina prywatne, oraz egzamin dojrzałości.

— Wilma de Kaley, węgierka z rodu a małżonka wielkorządcy Bośni i Hercegowiny, miała w Peszcie odczyt „Życie kobiet w zajętych prowincjach słowiańskich“. Teodora Krajewska, o której czytelniczki naszego pisma już miały wiadomość pewną, jako o doktorze medycyny, objęła tam posadę urzędową, a choć początkowo praktyka jej była bardzo ograniczoną, przecież cierpliwie przełamała ona te lody, lecząc darmo dzieci, oraz kobiety z ludu i po pewnym czasie nietylko zdobyła sobie praktykę, ale i takie zaufanie, że za jej poradą przyzwano w 1893 r. drugą lekarzkę chrześcijankę, Bohosławę Keck. Według wykazów urzędowych Krajewska, leczyła 613 osób, a to: 269 katolików, 90 wyznania greckiego, 224 mahometanek, 20 kobiet wyznania mojżeszowego, 4 protestanckiego. W liczbie chorych obu miast było kobiet i dzieci 360. Prelegentka mówiąc o sobie wyraziła życzenie, że przede wszystkim pragnie oddziaływać na kobiety miejscowe, ponieważ ich obecne życie jest moralnie czerem i jałowem, nie pozwalającym na spełnienie tego, co jest naturalnym obowiązkiem żony i matki. Oddzielone od towarzystwa mężczyzn nie znają życia rodzinnego w takim znaczeniu, jak u nas, nie znają i życia społecznego, pragnąc przecież zmiany gorąco, bo z natury inteligentne są, a umysł ich żywy pożąda silnie wiedzy szerszej.

— Ostatni z wykonanych przez Olę Boznańską obrazów, znajdujących się na wystawie wiedeńskiego Künstlerhausu, został nabyty przez hr. Konstantego Przędzieckiego do galerii jego prywatnej.

— Księżna Yorku, należąca do Stowarzyszenia niedopuszczającego okrutnego obchodzenia się ze zwierzętami, przyjęła na siebie obowiązek rozdawania nagród, przeznaczonych przez to Stowarzyszenie za najlepszy traktat „Znaczenie dobrego obchodzenia się ze zwierzętami“. Kto zdolny jest zadawać ból jakiegokolwiek istocie, która go czuje, jest z konieczności natury swojej niemilosierdnym i okrutnym, więc niebezpiecznym członkiem społeczeństwa i człowiekiem złego serca.

— Miss Emma Reed, dr. medycyny, wygłosiła w Londynie, w lokalu Narodowego stowarzyszenia zdrowia, seryę odczytów o obowiązku matek pielęgnowania zdrowia i rozwoju sił dzieci. Nazwała to grzechem przeciwko ludzkości i ojczyźnie, jeżeli nie chcą przykładąć tu potrzebnej pieczołowitości, jeżeli nie zdobędą sobie potrzebnej wiedzy, przytaczając tu i u nas znane zdanie łacińskie: „W zdrowym ciele zdrowa dusza“.

— W uniwersytecie szkockim S-go Andrzeja w Edynburgu, który dopuścił niedawno kobiety na wykłady swoje, pierwszą studentką, która otrzymała stopień doktora medycyny, jest Marya Ewelina Blackadder, córka budowniczego. Ma lat dziewięćnaście i cieszy się wielkim szacunkiem kolegów, w skutek taktownego i pełnego godności układu. Urządzili jej też owacy, obdarzając ją pięknym wieniec laurowym, przepłatanym różami i pieśnią odśpiewaną wieczorem pod oknami jej mieszkania.

— Alihe Hanum, turczynka wysokiego rodu, bo córka byłego ministra sprawiedliwości, Dzeweda Pasy, napisała i wydała w Konstantynopolu książkę „Współczesne muzułmanki,“ Wykształcona, znająca języki obce i historię narodów wraz z ich religijnymi kierunkami, znająca zarazem obyczaje europejskie, nie pragnie przecież zmiany losu kobiet swego wyznania, czyniąc tu uwagę, że stare tradycje to ziarno w grunt istoty naszej wsiane i osobistościom pojedynczym nie wolno jest niemi pomiatać. Trzeba na to współdziałanie całego społeczeństwa, gdy dojrzeje ono do tego.

— Anna Pirmatei Gentile, rzymianka, otrzymała medal za waleczność wręczony jej własnoręcznie przez króla Humberta. Pewnego razu, już po północy, pani ta siedząc na tarasie swego domu przy ulicy Piazza del Carette usłyszała głos niewieści, wzywający ratunku; był to głos Maryi Bercellone, małżonki inżyniera nieobecnego w domu, do którego zakradł się złodziej, żądając pieniędzy, które trzymane w domu w papierach procentowych, a stanowiących całe mienie rodziny. Już zadał nieszczęśliwej kilka pchnięć sztyletem, gdy śmiała zbawczyni, zjawiła się nagle i przytomna wyrwała mu najpierw sztylet z ręki, budząc ludzi krzykiem. Królowa Małgorzata dodała do nagrody przyznanej kosztowną kameę, otoczoną brylantami, jako upominek.

— Francuzka pani, rodem z Bretonii, Marya Tourangin, Chopin z domu, pokrewna Fryderyka Chopina, otrzymała miejsce ordynatora w lyceum Fenełona w Paryżu. Mając rok dziewiętnasty i wykształcenie bardzo średnie, przybyła do Paryża aby się kształcić w medycynie, obecnie należy ona do bardzo cenionych lekarek, których jest w Paryżu pięć.

— Angielska litteratka, Miss Law, miała w Londynie odczyt o litteraturze francuzkiej, której obecne kierunki, uważa za złe—szkodliwe dla zdrowia ducha, zwłaszcza kobiet, bo heroiny, które są tu wyprowadzone na widowię, bardzo często przedstawiają ujemne strony uczuć, co przez obrazy łamanego obowiązku źle oddziaływa na wyobraźnię, którą brudzą. Kobieta prawdziwie uczciwa i szlachetnie pojmująca życie, nie lubuje się w obrazach niskich namiętności, z którymi się w ten sposób oswaja.

Z bieżącej chwili.

— Według dzienników petersburskich, projektowana reforma departamentu gospodarczego ministerium spraw wewnętrznych, została odłożoną do późniejszego czasu. Projekt, odnoszący się do tej reformy, nie będzie też czytany w radzie państwa w ciągu odbywającej się sesji.

— Ministerium rolnictwa i dóbr państwa, nakażało, aby obróże i kagańce były tak obowiązkowo wkładane psom po wsiach, jak to ma miejsce w miastach. Według nowych przepisów, na każdej obróży powinno znajdować się wryte nazwisko osoby, do której pies należy, gdyż właściciel jest odpowiedzialnym za pokąsanie ludzi przez psów, nad którymi powinna być rozciągnięta kontrola odpowiednia, i przy najmniejszych oznakach choroby, powinny być zamykane.

— Ministerium finansów, zamierza wysłać za granicę w ciągu bieżącego lata delegatów, w celu zbadania na miejscu organizacji muzeów handlu i przemysłu w rozmaitych miastach, a to w skutek zamiaru utworzenia podobnych muzeów w obrębie państwa. Muzeum Warszawskie przedstawia typ zagranicznych muzeów tego rodzaju.

— W skutek uchwały War. Towarzystwa przeciwzbrocznego, rozpoczęta została budowa nowego przytułku noclegowego, który stanie na placu Broni przy zbiegu ulicy Dzikiej i Stawki. Budynek drewniany na podmurowaniu mieści się na parterze, zawierając oprócz kancelaryi i herbaciarni cztery sale noclegowe, mogące pomieścić osób dwieście. Dzielą się one na dwa oddziały: kobiece i męzki. Na tymże placu stanie budynek drugi: dom zarobkowy dla osiemdziesięciu osób, robotnic i robotników; pożyteczna ta instytucja potrzebuje zebrania funduszu, odpowiadającego wydatkom wzniesienia domu i następnie utrzymywania go.

— Etat szpitala Dzieciątka Jezus, obliczony na utrzymanie 500 chorych, przedstawia przypuszczalną potrzebę 88,840 rs., rocznie. Etat szpitala S-go Jana Bożego na 190 mężczyzn i 10 obłąkanych kobiet, przewiduje obok dochodu 35,306 rs., wydatek 41,525 rs. Rada miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła oba te etaty. Zatwierdzonym został również dar Feliksa Węzarskiego w kwocie 800 rs., dla kościoła na Pradze i 150 rs., dla kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie.

— Starszy ogrodnik miasta, przedstawił do zatwierdzenia dwa plany skwerów na placu Grzybowski i na rogu ul. Pięknej i Mokotowskiej, projektując obok tego urządzenie tak szerokich chodników przy placu Grzybowski, aby mogły być wysadzone drzewkami.

— Salon Artystyczny na Nowym-Świecie, ogłosił konkurs na oryginalny obraz olejny, przedstawiający piękną głowę młodej kobiety, nie wystawioną poprzednio na żadnej wystawie sztuki w mieście naszym. Nagroda I-a 100 rs., nagroda II 75 rs., trzecia, dodatkowa 50 rs. Głosować będą na te nagrody tak artyści, jak i publiczność; dwie pierwsze nagrody, przyznane będą na skutek większości głosów, składanych imiennie przez artystów; nagroda III, zależeć będzie wyłącznie od publiczności. Wystawa ta mieć będzie miejsce w Salonie Artystycznym.

— Powziętym został zamiar wybicia medalu na uczczenie dwudziestopięcioletniego zajęcia się hr. Emeryka Hutten Czapskiego numizmatyką historyczną. Jubilat otrzyma medal złoty; osoby pragnące posiadać te pamiątki mogą się zapisywać na

medale srebrne i brązowe w handlu starożytności p. Bolcewicza w Warszawie.

— W dniu 30-ym bieżącego miesiąca rozpoczęcie się w gmachu Instytutu głuchoniemych licytacja biblioteki i rękopismów pozostałych po Wacławie Maciejewskim, historyografie. Zbiór to jest niewątpliwie wartości niepowszedniej i odzywają się też głosy, że powinien zostać nabyty w całości.

— Rudolf Gutowski, doktor medycyny, zmarły w roku przeszłym, wykopał pod Warną w miejscu, które było w 1444 r. polem walki między naszym rycerstwem z Turkami, całkowitą zbroję z dwoma hełmami, z dwoma mieczami i dwoma rodzajami młotów. Zbroja ta jest obecnie w posiadaniu jego rodziny, zamieszkałej w Adrianopolu a przedstawia zupełne uzbrojenie naszego husarza z XV-go wieku.

— Uchwała, obejmująca zarys postępowania przy odnawianiu katedry na Wawelu mieści warunków, aby uszanowanymi były wszystkie, choćby najdrobniejsze pamiątki historyczne z celem zachowania tej świątyni jej cechy starożytnej. Nie ani wewnątrz, ani zewnątrz nie ma być zmianom.

— Koło literackie we Lwowie podniosło myśl uczczenia czterdziestoletniej pracy literackiej Jana Zacharyasiewicza, który umie zawsze trafiać do sere i umysłów społeczeństwa. Z inicjatywy Koła zawiązał się komitet mający tego dokonać; na jego czele stoi prezydent miasta Mochacki, rektorowie: Cwikliński, Roman Pilat i reprezentant Koła, Skotnicki. Uroczystość ta odbędzie się w d. 25-ym Czerwca, nazajutrz Koło urządzi raut.

— Stanisław Smolka, profesor literatury naszej w uniwersytecie krakowskim, a zarazem sekretarz jeneralny krakowskiej Akademii Umiejętności, przybył do Częstochowy, jako delegat Akademii dla przyjęcia biblioteki i zbiorów naukowych po ś. p. Skowrońskim, który zapisał je ostatnią swą wolą tej instytucji.

— W Poznaniu obchodzono dwudziestopięcioletnie założenia tam teatru polskiego. Nastąpiło to w dniu 12-ym Kwietnia 1870 r., w którym to czasie zebrał się pierwszy wiec, obradujący w tym przedmiocie, a który uchwalił statut spółki akcyjnej, obowiązującej po dziś dzień, a której staraniem komitet teatralny rozprzedał przeszło 1,200 akcji i zebrał około 15,000 marek drogą składek. Lech Nowakowski i Miłoz Sztengel uzyskali pierwszą koncesję na przedstawienia teatralne a następnie i subwencją. W ciągu wymienionego okresu czasu, niezależnie od kosztów wzniesienia i utrzymywania budynku teatralnego, subwencya rządowa, dostarczona teatrowi poznańskiemu, wynosi 90,000 marek. Przecież tamtejszy teatr niemiecki otrzymuje taką kwotę w ciągu lat dwóch. Teatr polski wyjeżdża zwykle z Poznania do miast i miasteczek pomniejszych porą letnią, przyjmowany zawsze z wielkim uznaniem i korzyścią tak tej instytucji, jak i publiczności, która zawsze zapełnia teatr. Dodać trzeba, że nierzadko widzieć tu można i to nie w małej liczbie lud wiejski.

— W dniu 26-ym bieżącego miesiąca nastąpiło w Poznaniu otwarcie wystawy przemysłowej, nie połączonej przecież z wystawą płodów rolniczych, jak to było żądaniem ogółu miejscowego. Druga takiego też gatunku wystawa otwartą będzie wkrótce w Królewcu. Wystawców jest tu 600, ale między niemi polaków nieco więcej niż 90, bo też ciągnęło się tu mnóstwo rozmaitych przemysłowców niemieckich ze Szląska, z Pomeranii, z Brandeburgii nawet, jakkolwiek miała to być jedynie wystawa prowincjonalna.

M Y Ś L I.

Przyszłość a nie przeszłość powinna niewątpliwie być najważniejszym celem badań naszych, przecież znajomość przeszłości ma znaczenie wielkie dla przyszłości, bo oświeca nas z jakich przyczyn rodzą się skutki jakie. Aby wybiegać naprzód duchem, trzeba znać dobrze drogi, którymi chodzi ludzkość.

Niezawsze czyn, niezawsze samo życie praktyczne zaspakaja człowieka, który dlatego też szuka środków dopełnienia sobie życia uczuciem i całkować je pragnie wewnętrzną muzyką ducha—chce dośpiewać sobie w sereu dla harmonii uczucia to, co jest słabym ledwo dźwiękiem, odbiciem, napomnieniem życia.

Najwyższem zagadnieniem literatury jest życie ludzkości, ale życie ześrodkowane, spromienione, to jest zebrane, skupione w uczuciu piękna. Oświata, czyli cywilizacja społeczna, odbija się w ciągu wieków całych długim, przeciągłym odgłosem form życia, które wytwarza i wciela się w naród wielką potężną, bo żyje w jego wierze i wyobrażeniach o świecie, o życiu, w pieśniach, powiastkach i przysłowia.

Życie ludzkie ogrzane uczuciem, opromienione jego aureolą, namaszczone jego świętością, stanowi piękno estetyczne, gdzie łączy się myśl i czyn, dobro i prawda w ognisku jednym. Uczucie uważane jako ześrodkowanie dobra i prawdy w tem bez ustanku tlejącem ognisku, które roznieca w duszy człowieka zamięłowanie prawdy i dobra powszechnego, wyraża się w literaturze każdego narodu.

Jest środek, przez który przebijać się musi każda myśl, aby stała się wyrazem życia i tchnęła jego ciepłem—każde pojęcie mające się stać czynem, wcielić się w żywot społeczeństwa. Tym środkiem jest uczucie—skupienie woli i myśli, które harmonizują ze sobą w tem ognisku i życie na myśl, myśl na życie wpływać wtedy poczyna.

Co jest pierwotnem, rodzimem, powinno przede wszystkim zwracać uwagę ludzi myślących. Co jest prawdą życia wyrazić się musi koniecznie, objawić w postaci czynów a co jest stałe, nieprzemijające odzywa się w dziejach życia naszego i jak puls w żywym człowieku, bić w nim musi bez ustanku, jeżeli nie w ruchu myśli to w czynach, jeżeli nie w czynach to w myślach i uczuciach społeczeństwa.

J. Majorowiec.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Co jest szczęście?** przez Aleksandra Römera. Przekład z niemieckiego, ark. 6.

TREŚĆ: Jan Zacharyasiewicz, przez M. Ilnicką (z drzeworytem).—**Nie myśl ty o tem**, przez Stefana.—**W codziennej walce** powieść współczesna St. Ariel. (dalszy ciąg).—**Nowiny paryzkie**, przez C. H. — **Tragedye i komedye zabobonu**. Zabijające duchy (dokończenie).—**Kronika działalności kobiecej**.—**Z bieżącej chwili**.—**Myśli**.

Dodatek obejmuje: **Co jest szczęście?** powieść przez Aleksandra Römera, przekład z niemieckiego ark. 6-ty. — Przegląd mód. 38 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.